



Kołysanie... Przyzwyczajony do solidności stałego lądu, bynajmniej nie byłem zadowolony, gdy fale unosiły naszą Santa Marię w górę i w dół. Bezustanna ta huśtawka kilka razy sprawiła, że jak się to mówi wśród nas, marynarzy – „złożyłem ofiarę królowi mórz Neptunowi”. Przystosowałem się jednak szybko, tak jak i ci z załogi, którzy pierwszy raz pożegnali stały ląd...

Od samego początku rejsu – jak nazywa się podróż morską – nasza mała flotylla⁶ trzymała się razem, żeglując w zasięgu wzroku. Marynarze pełnili wachty – bo tak określa się czterogodzinne okresy służby. Przy sterze, przy żaglach czy też utrzymując porządek. Cztery razy na dobę kambuz – jak nazywa się statkowa kuchnia – wydawał proste, ale obfite posiłki. Mając doświadczenie z tawerny, w mig zaprzyjaźniłem się z kucharzem, dostając – wstyd się przyznać – najsmaczniejsze kąski.

Od samego początku pogoda była wspaniała, a, w przeciwieństwie do marynarzy, mając mnóstwo wolnego czasu, całymi godzinami patrzyłem na ocean. Patrzyłem, nie mogąc się nadziwić, zdumiony, że nie jest to straszna „pustynia wodna” – jak mówili niektórzy – ale falujący czarodziejski dywan pełen nadzwyczajności...

Podziwiałem ryby wyskakujące z wody, szybkie, śmigające wśród fal sylwetki delfinów. Ptaki, krążące nad statkami całymi godzinami. Nocą bezlik gwiazdozbiorów, Mleczną Drogę, czasem spadające gwiazdy...

⁶ Flotylla – grupa statków.

Niekiedy, gdy wiatr nabierał mocy, ocean garbił się groźnie, podmuchy pochylały maszty statków, a pokład uciekał spod nóg. Marynarze modlili się i zapalali świece, prosząc Boga o uspokojenie oceanu – co zawsze, prędzej czy później, następowało.

Wypatrywałem też owych potworów. Co prawda, jak dotąd, nikt ich naprawdę nie widział na morzach i oceanach, jednak opowieści z tawerny mocno zapadły mi między uszy...

Marynarze najbardziej bali się korsarzy – rozbójników morskich, napadających na statki i grabiących dobytek. Mieliśmy wprawdzie armaty i halabardy, jednak cieszyłem się, że nigdy nie spotkaliśmy tych niecnych hultajów.



Jak dowiedziałem się przed wyruszeniem na wielki i nieznany ocean nasza flotylla miała zatrzymać się na odkrytych niedawno Wyspach Kanaryjskich. Wyspy te leżały w pobliżu kontynentu afrykańskiego, wielokrotnie opływane-go przez europejskie statki. Żegluga miała zabrać nam – oczywiście w zależności od kaprysów wiatru – „dobry tydzień”, jak mawiali doświadczeni. Bardzo się cieszyłem, bowiem powiększający się wciąż bezmiar wody zaczynał mnie już mocno niepokoić.

Postój na Wyspach Kanaryjskich miał odświeżyć nasze zapasy i dać załozie odetchnąć.

Niespodziewanie, gdy już byliśmy kilka dni w drodze, Pinta zasygnalizowała flagami: „Podpłyńcie do nas. Potrzebujemy pomocy”.

Kiedy statek nasz zbliżył się, zawołano: – Pęknięcie steru! Naprawimy go tymczasowo i dogonimy was w porcie.

Jak widzicie nasze karawele nie były w najlepszym stanie. Okazało się, że jeszcze nieraz wymagały remontu. Tym większe powinno być uznanie dla kapitanów i znoszących wszystkie trudy marynarzy.

Minęło kilka dni, podczas których, na szczęście dla uszkodzonej Pinty, było pogodnie i wiały sprzyjające wiatry. Ponieważ przyzwyczałem się już do kołysania, które w pierwszych dniach dało mi się mocno we znaki, odrabiałem kulinarne zaległości. Oczywiście, łasując i podziwiając morskie niezwykłości, nie zapomniałem o obowiązkach. Pamiętacie, że było nimi gonienie myszy. Robiłem to tak zawzięcie, że wszystko co mogły schrupać to, rozsypane po pokładzie, okruchy sucharów.



Było coraz cieplej. Ja jednak, w przeciwieństwie do załogi, potrafiłem zawsze znaleźć sobie chłodne miejsce, w cieniu rozpiętych żagli.

Ważne i muszę Wam to powiedzieć: wszystko co działo się na statku – poczynając od pogody, zwłaszcza siły i kierunku wiatru, owych rzadko pokazujących się ptaków, uszkodzonych żagli – notowane było skrzętnie w grubej, oprawionej w skórę księdze zwanej dziennikiem pokładowym.

Bardzo mi się ten porządek podobał. Tak bardzo, że postanowiłem prowadzić mój własny koci dziennik podróży. Poważniej mówiąc, Dziennik Podróży Kota Pokładowego Diego. Oczywiście nie umiem pisać, ale gdybym pisać potrafił, lub mógł komuś dyktować, wyglądałoby to mniej więcej tak:

Dziennik Podróży Kota Pokładowego

Pogoda! Niebo pokryte drobnymi chmurami. Wiatr umiarkowanej siły ze wschodu, niosący nasze statki na zachód. Drobną deszcz około południa, zbyt mały, by udało się go schwytać do wystawionych beczek. Mimo starań nie udało się złowić ani jednej z płynących przy burcie Santa Marii ryb.

Wizyta w kajucie⁷ kapitana Kolumba. Pogoniłem dwie myszy, które wbrew naszej umowie próbowały zapoznać się z mapą i księgami kapitana...

12 sierpnia, po dziewięciu dniach wodnego bezmiaru, ku mojej radości zza horyzontu wynurzyły się wyspy. Przekonało to mnie i nowicjuszy wśród marynarzy, że ocean nie jest nieskończony. Że zawsze, jeśli płynie się dostatecznie wytrwale, dopłynie się do jakiegoś lądu...

Tak się też stało i dotarliśmy szczęśliwie do największej z wysp – Gran Canarii, otoczonej kilkoma mniejszymi skrawkami lądu. Gdy podpłynęliśmy do niej, statki „stanęły na kotwicach” – jak to nazywają marynarze, czyli po prostu opuszczono kotwice na dno.

Zobaczyłem porozrzucane po wzgórzach domostwa, drogi i wędrujących po nich a czasem jadących konno ludzi. Byli tacy jak w Hiszpanii.

⁷ Kajuta – pomieszczenie mieszkalne, pokój, na statku.

Ucieszyło mnie to i nie myślałem już o strasznych stworach, jakie ponoć miały zamieszkiwać dalekie lądy. Jak opowiadali marynarze, na wyspie były też najzwyklejsze zwierzęta. Tak jak u nas – krowy, psy, oczywiście również koty...

Postój spędziliśmy pracowicie. Przede wszystkim miejscowy kowal naprawił uszkodzony ster Pinty, która dopłynęła do nas całe dwanaście dni później. Uzupełniliśmy też prowiant, głównie wodę, która w beczkach i ciepłym klimacie szybko stawała się nie do spożycia.

Natomiast kapitan Kolumb przyjęty został na dworze hiszpańskiej władczyni wysp – Donny Betriz de Peraza, na co w pełni zasłużył.

Po trzech tygodniach, po odprawieniu uroczystej mszy za pomyślność wyprawy, statki nasze podniosły kotwice. Ruszyliśmy w dalszą drogę – na zachód ku dalekim Indiom. Wiatry znów były sprzyjające, a silny, płynący na zachód, prąd morski zwiększał naszą prędkość. Żeglowaliśmy z nadzieją w powodzenie wyprawy...



KRÓTKA LEKCJA NAWIGACJI

Pora chyba, żebyście dowiedzieli się czegoś, tak jak ja dowiedziałem się od marynarzy, o sztuce nawigacji – czyli o żeglowaniu na oceanie. Oceanie, gdzie przecież nie ma ani szos, ani drogowskazów, ani tablic informacyjnych. Ba, nawet najmarniejszej ścieżki. Oto więc minilekcja nawigacji w tamtych zamierzchłych czasach...

By orientować się w świecie, wszystko co nas otacza dzielimy na cztery części. Jak jabłko na cztery ćwiartki. Oczywiście w pierwszej kolejności to, co jest przed nami, potem – co za nami, następnie – to, co mamy z prawej strony i co mamy z lewej. Pomoże nam to bardzo poruszać się w otaczającym nas świecie.

Jak tu jednak iść, jechać czy żeglować, skoro owe cztery strony świata i wszystko co się w nich znajduje, kręci się wraz z nami. Trzeba więc koniecz-